

Każdy mówi za siebie?

Paradoks zawodu aktora: u progu kariery marzy o takiej perfekcji, która pozwala stopić się z postacią w jedno. Tymczasem wraz ze zdobywaniem popularności ten cel wcale się nie przybliża, dla aktorskiej gwiazdy stając się wręcz nieosiągalny. Publiczność widzi przede wszystkim jego lub ją, aktora lub aktorkę, nie postać, lecz gwiazdę...



AGNIESZKA

Filmowy debiut Krystyny Jandy – Agnieszka z „Człowieka z marmuru”; najbardziej niekonwencjonalna postać kobieca w polskim kinie. Jeszcze dziś jej przebojowość, nonszalancja, pewność siebie potrafi zirytować, a spontaniczność, odwaga, wytrwałość w walce o to, co wydaje jej się słuszne – zachwyć. Agnieszka, której przestraszyli się ówcześni prominenci, bo zapowiadała pojawienie się pokolenia, które, by zacytować Andrzeja Wajdę, „nie będzie prosiło, tylko kopniakiem otworzy sobie drzwi”.

– Agnieszka to byłam ja. Miała mój sposób bycia, moją zawartość mózgu, moją polityczną naiwność. Reżyser postawił przede mną zadanie dość enigmatyczne: mam coś zrobić, żeby ta dziewczyna zainteresowała widzów. Rozśmieszyć ich, zdenerwować, wszystko jedno. Postanowiłam po prostu sportretować grupę młodzieży, stanowiącej do niedawna moje środowisko. Byli to uczniowie liceum plastycznego, formacja dość szczególna. Nie narzucano nam w tej szkole żadnych rygorów w sposobie myślenia. Chodziło o to, by nas otworzyć na wszelkie możliwości w plastyce, lecz podobne



„Człowiek z marmuru”



Aktor i postać; zapytałam Krystynę Jandę, jak to jest. Jak przebywa się drogą od Agnieszki z „Człowieka z marmuru” do Marii Callas?

nastawienie przenosiło się na styl życia. Uczono nas, że wszystko jest możliwe w sztuce, lecz my wyciągaliśmy z tego wniosek, że również w życiu. Grając Agnieszkę, realizowałam każdy pomysł, jaki mi przyszedł do głowy, ale rezultatu nie potrafiłam przewidzieć. Było to działanie czysto intuicyjne. Można tak zagrać w pierwszym filmie, później już nie wolno.

TONIA

Tonia z „Przesłuchania”, rola nagrodzona w Cannes. Piosenkarka z objazdowego zespołu estradowego trafia na początku lat 50. do ubeckiego więzienia. Chcą z niej wydobyć zezna-

wą sukienkę i szpilki jako strój, w którym wiozą ją na Rakowiecką /zgarnęli ją z dancingu/. I taka dziewczyna, rozbawiona, uśmiechnięta, trafia do straszego stalinowskiego więzienia, a widz razem z nią. Jeśli potem nie dała się złamać, to znaczyło, że każdy może znaleźć w sobie zdolność oporu. Widz mógł jej uwierzyć, bo był świadkiem, jak budowała się jej wewnętrzna siła. Wychodził z kina z nadzieją: jak też bym się nie dał.

MAMA

Najbardziej lubiany polski film połowy lat 80., „Kochankowie mojej mamy” zawdzięczał swą popularność przede wszystkim postaci kochającej, chociaż niekonwencjonalnej mamy 10-lletniego chłopca. Krystyna Janda spo-

cił kontakt z codziennym życiem. Sztukę zastąpi kłamstwo, które widz natychmiast wyczuje.

MODRZEJEWSKA

Helena Modrzejewska: najtrudniejsze zadanie aktorskie Krystyny Jandy w całej jej karierze. Największa nobilitacja, najwyższa odpowiedzialność. Jak ocenia po latach rezultat swej pracy?

– Gdybym mogła, sporo bym poprawiła. Gram w tym serialu fragmenty największych ról Modrzejewskiej. Nie mieliśmy czasu na przygotowanie, musiałam grać bez prób, w pewnych scenach nawet bez partnerów. A przecież były to role z największego repertuaru, np. Maria Stuart. Przedostało się przed kamerę trochę moich odruchów prywatnych, np. w pew-



„Przesłuchanie”:
z Januszem Gajosem



„Kochankowie
mojej mamy”:
z Rafałem
Węgrzyńskim



„Modrzejewska”:
z Markiem Bargielewskim

nia, obciążające niewinnego człowieka, jednak nawet najokrutniejszymi metodami nie potrafią złamać jej oporu. Było oczywiste, że ludzie, którzy naprawdę siedzieli w stalinowskich więzieniach, będą oczekiwać historycznego dokumentu, lecz widownia kinowa – to przede wszystkim młodzi. Zdaniem aktorki należało dokonać wyboru.

– Po przeczytaniu scenariusza zdałam sobie sprawę, co może się zdarzyć: widzowie będą wprowadzić po stronie tej kobiety, lecz tylko, by tak rzec, „ideologicznie”, a wtedy zamiast filmu powstanie martyrologiczna kapliczka. Zaczęłam się zastanawiać, co zrobić, żeby Tonia wzbudziła sympatię widowni, zanim jeszcze trafi do więzienia. Pomyślałam, że mogłaby być dziewczyną trochę nieobliczalną, jakby się dziś powiedziało, „na luzie”. Dlatego wyprosiłam dla niej tę niemądrą piosenkę na początku /”Zgadnij kotku, co mam w środku”, napisał ją na oczekaniu Jacek Janczarski, potem muzykę – Jurek Satanowski/, balo-

retowała pewien charakterystyczny typ współczesnej młodej kobiety: czarujący kolorowy ptak, lecz współzycie z kimś takim na co dzień nie jest łatwe.

– To nie ja wyposażałam ją w podobne cechy, była taka już w scenariuszu. Istniał bardzo dokładny zapis: wszystkie sytuacje, sposoby zachowania, kompletny dialog. Wyraźna sytuacja zasadnicza: dziecko jest życiowym partnerem matki, musi się zachowywać bardziej odpowiedzialnie niż ona. Było w tym coś z moich układów z moją córką Marysią, oczywiście w postaci wyolbrzymionej. Ja też stanowiłam dla Marysi problem, nie zawsze mogła dać sobie ze mną radę. Grałam jakby dla niej. Chciałam, żeby zobaczyła ten film i dowiedziała się, że ją rozumiem, doceniam. Oczywiście, od tamtej mamy do mnie, od sytuacji chłopca do sytuacji Marysi było daleko, lecz wychywało się tzw. życiową prawdę, a bez tego nie ma dobrej postaci. Jeśli aktor jest pełnym człowiekiem, nie zagubił autentycznych reakcji uczuciowych /zakładając oczywiście, że opanował język przekazu, czyli sposób operowania własnym ciałem, spojrzeniem, głosem/, wszystko, co zagra, będzie dobre. I odwrotnie: wszystko będzie złe, jeśli stra-

nych momentach zbyt gwałtownie odwracam głowę, za szybko się poruszam. Bo rzecz nie w tym, że nie zagrałam jak Modrzejewska. Nie jestem Modrzejewską, zresztą nikt nie wie, jak ona naprawdę grała. Istnieją krótkie opisy niektórych scen, np. jak mdlała w „Damie kameleliowej”, ale nie można było powtórzyć tego dosłownie, serial to nie muzeum. Wiadomo, że miała świetną technikę, ogromną skalę głosu, swoje tricki, jak owo zemdlenie, że grała nie sercem lecz mózgiem, lecz podobne informacje niewiele mi pomagały. Jej świetna technika była dziewiętnastowieczna, a więc musiały tam być specjalne modulacje głosu, grywanie rekwizytów, recytowanie do widowni. Gdybym tak zagrała dzisiaj, publiczność pękałaby ze śmiechu. Zmieniły się bowiem nie tylko aktorskie środki wyrazu, lecz przede wszystkim obyczajowość, sposób wyrażania uczuć. Moim zadaniem nie było burzenie mitu, przeciwnie: miałam postawić na piedestale największą polską aktorkę, pokazać pięknego człowieka, kobietę zdolną do największych poświęceń dla swego zawodu. Tylko w taki pośredni sposób mogliśmy przekonać widza, że jej legenda jest prawdziwa. I ten cel udało się chyba osiągnąć.

MEDEA

Medea z tragedii Eurypidesa; córka króla Kolchidy, która zakochała się w przybyszu z Grecji, Jazonie, pomogła mu zdobyć złote runo i uciekła z nim do jego ojczyzny. Wypędzeni i stamtąd, znaleźli się na Kreecie. Tam Jazon postanowił porzucić Medeę i ożenić się z córką króla Krety, Kreona. Medea posłała rywalce zatrutą szatę – i zabiła synów. Jak obronić sprawczynię takiej zbrodni?

– To był problem. Widzowie nie muszą się orientować, że motywy kryją się w naszym systemie moralnym, dowiadują się po prostu o fakcie: zabiła własne dzieci. Jak zagrać, żeby widz nie odwrócił się od takiej kobiety? Rozmawiałam o tym z Ernestem Bryllem. Powiedział mi tak: wyobraź sobie, że jesteś córką polskiego opozycjonisty i zakochałaś się wielką miłością w Rosjaninie. Wychodzisz za niego za mąż, wyjeżdżacie do Moskwy, rodzisz mu dwoje dzieci, ale jesteś tam obca. I oto pewnego dnia mąż ci mówi, że się z tobą rozwodzi i żeni z córką Breżniewa /to były tamte lata/. Synów też ci odbierze i odda do odpowiednich szkół, gdzie ich wychowają na podpory reżimu. Czy nie mogłabyś postąpić jak Medea?

Brzmi to na pozór trywialnie: grecki mit i sowiecka Rosja. Grecki teatr i psychologia; absurd. A jednak musiałam znaleźć jakiś chorobliwy stan psychiczny, pozwalający widzom uwierzyć, że podobna reakcja jest możliwa. Zdecydowaliśmy z reżyserem, Zygmuntem Hübnerem, że będzie to prawie obłąd, szaleństwo kobiety, doprowadzonej do skrajnej rozpacz. Dlatego ona czołga się po scenie, rani się, drze na sobie suknie. Pokazałam ją jako kogoś, kto z bólu traci rozum. Na "Medeę" przychodziła do teatru młodzież; w takiej interpretacji mogli ją zrozumieć.

VALENTINE

Shirley Valentine – przebój teatralny Krystyny Jandy. Monodram, 2 godziny sama na scenie. Grała tę sztukę już 300 razy, odwiedziła różne miejscowości w Polsce i zawsze na widowni jest nadkomplet. Co najmniej 400 osób na sali; lekko licząc, ponad 100 tys. widzów. Jak może się odnaleźć w roli kobiety nie zaspokojonej, uwiązanej w kuchni przy garach i wyrwijającej się w kolorowy świat miłości?

– Przede wszystkim – to jest fenomenalny materiał dla aktorki, świetnie napisany tekst. Czy znajduję tu siebie? Moja Valentine zrobiona jest z najszczerzej prawdy, chociaż to nie są moje własne doznania. Za wzór posłużyły mi sąsiadki mojej babci, koleżanki moich ciotek. One wszystkie są Valentine. Ta postać nie ma dla mnie tajemnic, bo rozumiem kobiety, których życie tak właśnie wygląda. Myślę, że na widowni jest ich za każdym razem wiele. Podobno na inny mój monodram, "Kobietę zawiedzioną", niektórzy lekarze przysyłają znerwicowane pacjentki, uważając, że może spełnić rolę psychodramy...

AGATA

Agata z "pestki"; Krystyna Janda zagrała główną rolę i zadebiutowała tym filmem jako reżyser. Późna miłość, zakończona tragicznie, zbyt wielka, by zakochana kobieta mogła pogodzić się z tym, że jej uczucie nie wystarczy, aby wybrany mężczyzna był szczęśliwy. Dramat czy melodramat?

– To nie jest film o miłości, lecz o sytuacji, kiedy człowiek nie może sobie z miłością poradzić. Podpowiadano mi, żeby zakończyć "pestkę" happy endem: Agata i Borys zamieszkałi razem, w ostatnim ujęciu siedzą nad Wisłą, są szczęśliwi. Ale co wtedy z problemem, jakim okazało się dla niego odejście od rodziny? Jedni radzą sobie z takim ciężarem, inni nie; postacie z "pestki" nie potrafią. I dlatego warto było zrobić o nich film. Znam wiele podobnych związków. Ludzie albo żyją w kłamstwie, albo niszczą rodzinę, albo porzucają kogoś, kogo kochają. Jesteśmy odpowiedzialni za bliskich, ale również za własne życie, chociaż nakazy religii narzucają nam tylko



W "pestce"

Fot. Krzysztof Wellman

strzowskim kursie w Nowym Jorku. To nie jest sztuka biograficzna, lecz spektakl o tym, co znaczy być wielkim artystą.

Bo ona nie ma wątpliwości, że jest największa. Mówi o rywalkach: *Jak mogłam mieć rywalki? Żadna nie umiała zaśpiewać tak jak ja. O widzach: – Oni mają paść przed wami na kolana, bo wyście im oddali wszystko. Odato tutto a te!* O uczniach, owych młodych śpiewakach: *– Wasze życie nie miałoby sensu lub miało mniejszy sens, gdybyście mnie nie spotkali.*

Pogardza każdym, kto nie potrafi zrozumieć, że sztuka jest światem wyższym albo kto uprawiając sztukę, nie chce dać z siebie wszystkiego. Gardzi nimi, bo sztuka to dla niej sprawa życia i śmierci. Ważniejsza od życia, ważniejsza od śmierci. Dlatego stawia uczniom najwyższe wymagania, nie mniejsze niż stawiała sobie. I dlatego oni się buntują.

Callas żąda od młodych artystów czegoś, co trudno im zrozumieć: żeby śpiewali "uczciwie". Mówi im: *– Nienawidzę słowa: grać. Być czuć, po to tu jesteśmy. Że akurat śpiewamy, to przypadek.*

Ona żyje w sztuce, podobnie jak żyje w



Jako Maria Callas

Fot. Archiwum Teatru Powszechnego

jedno rozwiązanie. Ja sama chodzę z dziećmi co niedzielę do kościoła, a przecież w świetle prawa kanonicznego żyję w związku nielegalnym.

Czy zrobiłam melodramat? Chciałam, żeby to był film, który każe widzowi przez chwilę pomyśleć. Moralitet – może za duże słowo – ale na pewno film o trudnym problemie moralnym, przy którym warto się na moment zatrzymać.

CALLAS

Maria Callas – najwybitniejsza śpiewaczka operowa wszech czasów. Sztuka o niej od dwóch lat nie schodzi ze scen największych teatrów Europy i Ameryki.

– Maria Callas z tego spektaklu od dawna już nie śpiewa, udziela natomiast lekcji na mi-

sztuce aktor. Żyjemy w sztuce, bo przez kilka godzin dziennie zajmujemy się sprawami ostatecznymi, uczymy się wielkich słów na pamięć, rozmawiamy na scenie o namietnościach, o miłości, o śmierci. Jeśli nawet nie gra się w antycznych tragediach lub w sztukach Szekspira, obcuje się ze światem, w którym wszystkiemu, co odczuwa człowiek, nadano większą wagę, ubarwiono, wyostrono. Nie można się od tego uwolnić, to zostaje w mózgu jak nowotwór. Lecz jeśli odetnie się aktora od takiego świata, może się okazać, że aktor nie potrafi bez niego żyć. W latach kina moralnego niepokoju aktor nie miał prawa nie wiedzieć, jak naprawdę wygląda rzeczywistość wokół niego. A przecież, grając w "Człowieku z marmuru", w "Przesłuchaniu" marzyłam czasami, jak pięknie byłoby zagrać w czymś, co ma wagę wielkich uczuć, lecz nie ma ciężaru kamienia. Być po prostu artystą.

Wysłuchała i notowała
BOŻENA JANICKA